

Obama anty-Clausewitz

6 listopada 2014

George W. Bush może być zadowolony. W pięć lat po niesławnym zejściu ze sceny politycznej jego ukochane dziecko i chyba jedyny (równie niesławny) wkład do historii – „nieograniczona wojna z terroryzmem” – powróciła triumfalnie w retoryce i praktyce laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Legitymizujący się tym tytułem obecny lokator Białego Domu ogłosił jej rewitalizację na forum ONZ wzbudzając entuzjazm swych sojuszników z NATO (w tym rzecz jasna zawsze chętniej Polski), reżimów znad Zatoki Perskiej i dziennikarzy. Wojna z terroryzmem w wersji prezydenta Obamy ma się różnić się od poprzedniej. Tym razem pretekstem do niej nie jest żaden pojedynczy zamach w wykonaniu tajemniczej konspiracji międzynarodowych spiskowców, ale niezwykle sukces licznej armii islamskich dżihadystów działających jawnie i kontrolujących zwarte terytorium północno-wschodniej Syrii i północno-zachodniego Iraku. Powołana przez nich Organizacja Państwa Islamskiego (OPI, znana też pod angielskim skrótem ISIL i arabskim określeniem Daisz) cechuje się nie tylko poziomem okrucieństwa, przy którym talibowie wyglądają na wcielenie łagodności, ale także pragmatyzmem i wojskowym profesjonalizmem kontrastującym z samobójczą polityką irackiej Al-Kaidy z lat 2006-2007. Z drugiej strony nowością ma być lotnicza forma kampanii przeciw OPI oraz skład antyterrorystycznej koalicji, w której ważną rolę odgrywają państwa arabskie.

Czy jednak rzeczywiście mamy do czynienia z czymś nowym? Raczej nie, bo przecież mimo solennych obietnic prezydenta Obamy nigdy nie zakończono starej wojny z terroryzmem. Jej symbol – obóz w Guantanamo wciąż istnieje i nie zamknięto go nawet na jeden dzień, tak jak podobnych mu obozów w Afganistanie. Co więcej, amerykańskie drony co roku zabijają setki, w większości niewinnych ludzi na pograniczu

pakistańsko-afgańskim, w Jemenie, Somalii i innych regionach, które administracja waszyngtońska uznaje za zarażone wirusem terroryzmu.

Poczucie, że oglądamy kontynuację starej i skompromitowanej polityki wzmacnia fakt, że pstrokata koalicja powołana do walki z Daisz składa się w lwiej części z rządów, które wysługiwały się ekipie Busha m.in. udostępniając jej swoje terytorium na tajne katownie CIA. Z kolei na ponury żart zakrawa to, że większość z tych państw przez lata robiła co mogła, aby wspierać dżihadystowskie grupy działające na Bliskim Wschodzie. Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Katar przekazały im grube miliardy dolarów – szczodrość, której nigdy nie wykazały dla sprawy palestyńskiej. Pretekstem stała się wojna domowa w Syrii, którą reżimy znad Zatoki potraktowały jako okazję do uderzenia w oś szyicką – strefę wpływów Teheranu w Iraku, Syrii, Libanie i Palestynie, od lat spędzającą im sen z powiek w nieporównanie większym stopniu niż amerykańskie i izraelskie agresje zbrojne. Rękami radykalniejszych spadkobierców Al-Kaidy fundamentalistyczne monarchie w Ar Rijadzie czy Abu Zabi chciały oczyścić – dosłownie – region z szyickich heretyków. Dziś prowadzona przeciw szyitom wojna per procura rozlała się tak, że może zagrozić rodzinom panującym nad Zatoką, które finansowani przez nie dżihadyści uważają za prawie równie heretyckie.

Nie mniejsze zasługi mają tu same Stany Zjednoczone. Kolejne wojny z Irakiem zniszczyły państwo, zrujnowały gospodarkę i zdekomponowały społeczeństwo. Co gorsza, okupację w latach 2003-2010 Amerykanie wykorzystali do urzeczywistnienia rojeń kilku neokonserwatywnych orientalistów przekonanych, że Irak jest tworem sztucznym, a jego mieszkańcy nie dorośli do demokracji. Dlatego w 2005 r. okupanci narzucili Irakijczykom konfesjonalistyczną konstytucję z góry dzielącą wpływy we władzach między przedstawicieli wspólnot etno-religijnych. System ten musiał wykreować kogoś takiego jak Nuri Al-Maliki,

premier-dyktator z religijnego klucza, który z błogosławieństwem Waszyngtonu i Teheranu rządził za pośrednictwem milionowych służb bezpieczeństwa traktując kraj i pomoc amerykańską jako zasób do zagrabienia dla „swoich”. Doprawdy trudno się dziwić, że sunnickie grupy zbrojne, które po wycofaniu się Amerykanów i w porozumieniu z nimi pokonały iracką Al-Kaidę będą spokojnie patrzeć jak rząd w Bagdadzie dyskryminuje ich społeczności, a wszelkie protesty tłumi przy użyciu ostrej amunicji. Dziś wielu irakijskich sunnitów zrozpaczonych ekscesami konfesjonalizmu w wersji bagdadzkiej szuka ratunku w objęciach Daisz.

Oczywiście zarówno Waszyngton jak i monarchie znad Zatoki mają prawo do zmiany polityki. Bombardowania pozycji OPI wydają się to potwierdzać. Problem w tym, że wcale tak nie jest. W rzeczywistości te bombardowania są wyrazem niezdolności do jakiegokolwiek zmiany podejścia. Wiele wskazuje na to, że tak naprawdę Obamie chodzi tylko naprawę nadszarpniętego wizerunku supermocarstwa. Po doświadczeniach przegranej w Iraku jego ludzie muszą przecież wiedzieć, że bombardowania nie powstrzymają dżihadystów bo nie da się zbombardować przyczyn ich sukcesów. Te bowiem nie leżą w sferze militarnej, ale politycznej. Przykładu dostarcza heroiczna obrona Kobane przez bojowników kurdyjskich. Realnej pomocy dla nich przeszkadzają interesy innego sojusznika USA – Turcji, która przez lata zwalczała tych samych bojowników, a teraz woli tolerować na swym terytorium werbowników OPI niż uznać kurdyjską autonomię u swych granic. Widać tu jak w soczewce, że rzeczywista walka przeciw Daisz wymagałaby decyzji politycznych. Decyzji narażających zbyt wiele interesów, aby rzeczywiście komukolwiek na niej zależało.

Carl von Clausewitz nauczał, że wojna jest przedłużeniem polityki realizowanym innymi środkami. Działania koalicji anty-Daisz dowodzą, że jej członkowie myślą dokładnie odwrotnie: traktują wojnę jako jedyną możliwą wersję polityki. To pomylenie porządków będzie miało konsekwencje: zapowiada,

że pasmo sukcesów OPI może trwać jeszcze długo.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)